

# Oświadczyzny podczas imienin

**Rozmowa** z KRZYSZTOFEM PLUSKOTĄ, którego Krzysztof Jasiński wybrał na swego następcę i dyrektora artystycznego Teatru Scena STU

– **Już Pan reaguje na słowa „Panie Dyrektorze”?**

– Traktuję to w kategoriach żartu, zwłaszcza, że mówią tak koledzy, którzy niedawno zwracali się do mnie per „Pluskot”.

– **Naprawdę nic Pan nie wiedział o tej nominacji? Przecież Krzysztof Jasiński prowadził z Panem rozmowy.**

– Rozmowy prowadziliśmy, wszelakie, ale ani przez sekundę o mojej nominacji. Dopiero teraz, łącząc pewne fakty, widzę, że było tych rozmów wyjątkowo dużo, i to sam na sam z dyrektorem Jasińskim. Ale do 19 lutego ani przez moment tej nominacji się nie spodziewałem.

– **Jak Pan sądzi, jakie Pana walory zadecydowały?**

– Nie mogę nie uwzględnić tego, co Panu powiedział sam dyrektor Jasiński, bo czytałem...

– **To przypomnę: „Od pięciu lat zbierałem wiedzę na temat ewentualnych kandydatów i Krzysztof Pluskota wygrywał wszystkie rankingi. Jest absolwentem krakowskiej PWST, wychowankiem Jerzego Stuhra, 11 lat spędził w Grupie Rafała Kmity, gdzie, jak niegdyś w STU, trzeba było zajmować się wszystkim, co daje bezcenne doświadczenie. Po czym odszedł, by grać więcej w STU, gdzie na próbach był niezwykle aktywny, pokazując, że w sposób pogłębiony czyta tekst, że jest inteligentny... Ostatnio sam przygotował spektakl „Raj”. (...) Zatem będziemy teraz pracować wspólnie, a ja, mam nadzieję, będę mógł przekonać się, że podjąłem dobrą decyzję”.**

– Myślę, że Krzysztof Jasiński dostrzegł także moją wielką lojalność wobec miejsc, z którymi jestem emocjonalnie związany, a na płaszczyźnie zawodowej jest to na pewno Teatr STU.

– **Znany Panu od...?**

– Jako licealista zobaczyłem spektakl Mikołaja Grabowskiego „Opis obyczajów”, a później



FOT. KATARZYNA WOJCIWICZ

Krzysztof Pluskota: – Chcę być wierny olbrzymiej tradycji STU...

także jego „Scenariusz dla trzech aktorów”; tak dowiedziałem się o istnieniu STU. I pomyślałem, że też tak chcę, że już nie chcę być prawnikiem, tylko aktorem. I przyjechałem do Krakowa na egzaminy do PWST.

– **To gdzie Pan te spektakle oglądał?**

– W telewizji. Na żywo nie miałem szans, mieszkalem wówczas w mojej wsi Sadkowo, w dawnym województwie koszalińskim.

– **Co Pan zobaczył po raz pierwszy w STU na żywo?**

– „Kwartet”. Też w reżyserii Grabowskiego. Oczarował mnie tak, że łącznie oglądałem go 19 razy. Byłem zachwycony aktorstwem. A później bardzo szybko zadebiutowałem w STU – w spektaklu „Wszyscyśmy z jednego szynela” Grupy Rafała Kmity, w której występowałem w latach 1999–2010; brała ona też często udział w rozmaitych benefisach w STU. Jeden ze spektakli dyplomowych – „Mr Love”, który był naszą inicjatywą studencką

w reżyserii Michała Kottańskiego, również został zaproszony przez dyrektora Jasińskiego i był grany w tym teatrze przez dwa lata. To wszystko budowało moją przynależność do tego miejsca.

– **Co Pana w STU urzekło?**

– Atmosfera. Imponowało mi istnienie stworzonej przez Jasińskiego Rodziny STU. Będąc zawsze wolnym strzelcem szukałem zarazem jakiejś kotwicy emocjonalnej – i to miejsce dało mi poczucie takiej przynależności. Tu zawsze dostawałem jakąś propozycję, nawet w czasach, kiedy mi się nie wiodło i chciałem niejeden raz z zawodu aktora rezygnować. Dziś wiem, że to Krzysztof Jasiński wierzył we mnie.

– **Jak bardzo, świadczy ta nominacja. Ma Pan już swoją wizję STU jako dyrektora artystycznego?**

– Ogólnie mogę powiedzieć, że chcę być wierny olbrzymiej tradycji STU – i o to chyba też chodziło Krzysztofowi Jasińskiemu. Bo to jest wartość, której

nie można przecenić. Zarówno samej marki, jak i ludzi, którzy ten teatr tworzyli i tworzą. To ogromna spuścizna i mimo całego procesu ewolucji, jaki ten teatr przeszedł, także artystycznie, to Rodzina STU zawsze była jego siłą.

– **Coś Pan doda od siebie?**

– Wiem, że STU ma swą wierną widownię, która jest sporą wartością, niemniej chciałbym otworzyć się i na inne grupy – na inny rodzaj publiczności, w tym na zapracowanych w korporacjach trzydziestolatków.

– **Jakim repertuarem?**

– Obecnie to – mówiąc skrótowo – wielkie inscenizacje, jak „Hamlet”, „Biesy”, „Król Lear” czy „Wędrowanie”, a obok tego rzeczy lekkie, łatwe i przyjemne. A przecież jest jeszcze wiele pośrodku. I to jest, mam nadzieję, szansa na poszerzenie grona naszych odbiorców.

– **STU, wyjąwszy okres klanu Grabowskich, to był zawsze teatr jednego reżysera, Krzysztofa Jasińskiego...**

– Od nazwiska „Jasiński” nigdy się nie da uciec. To największa moc tego teatru. Ale też to sam Jasiński rozpoczął przed laty jego wietrzenie, dopuszczając innych – mnie także udało się niedawno wyreżyserować spektakl „Raj”. Są twórcy, którzy tu powracali, jak Marek Gierszał czy „Baron” Więcek; oni już także są z wolna kojarzeni z marką STU. A że żyjemy w świecie, w którym jesteśmy bombardowani wielością rozmaitych zdarzeń, wyobrażam sobie, że i teatr będzie musiał stać się miejscem coraz bardziej różnorodnym. Zatem, gdybym wyobraził sobie, że – gdy już kiedyś będę samodzielnym dyrektorem – to reżyserem będzie tylko Pluskota, strzeliłbym sobie w kolano. Kiedyś silna osobowość mogła narzucić świat swej artystycznej wizji odbiorcom i oni musieli jej sprostać. Dzisiaj czasy takie, że to osobowości muszą uwzględniać świat oczekiwań odbiorców.

– **Osobowością i to silną jest na pewno Krzysztof Jasiński. A Krzysztof Pluskota...?**

– Na pewno jestem inny, ale na jej brak nie narzekam.

– **Którymi rolami zagranyymi w STU chciałby się Pan pochwalić – Czepca, Prymasa?**

– Staram się zawsze pracować tak, niezależnie od kalibru przedsięwzięcia, bym każdą z ról mógł się pochwalić. Tak, jestem niezwykle dumny z tych ról, bo pracując nad nimi zachłysnąłem się Wyspiańskim i dogrzebałem się rzeczy, których nikt wcześniej, wedle mojej wiedzy, się nie dogrzebał. Ale równie ciężko i uczciwie pracowałem nad postacią z „Koguta w rosole”, czy w sztuce „Psycho–tera–polityka”, która właśnie weszła na afisz STU.

– **Przez dwa lata będzie Pan prowadził teatr wspólnie z Krzysztofem Jasińskim, można się domyślać, że na krótkiej smyczy. A później?**

– To zależy od tego, jak sterowana będzie smycz przez te dwa lata. Na pewno jej długość ukształtuje mnie na dalszą przyszłość. Ale też nie zamierzam się szarpać. Smyczą dla mnie jest konieczność edukacji – tak menadżerskiej, jak i artystycznej... Choć mam i własne talenta. Ale ich nigdy za wiele. A wracając do smyczy – już kilka razy z niej się zerwałem, bo jednak, szanując cudze zdanie, lubię mieć własne.

– **Gdy podczas uroczystego spotkania w Urzędzie Miasta z okazji 50-lecia STU dowiedział się Pan, że jest tym wybranym przez twórcę STU, co Pan czuł – bardziej dumę czy pokorę?**

– Dumy nie miałem czasu odczuwać. Za chwilę musiałem coś powiedzieć. I to nie z kartki, bo ta sytuacja naprawdę mnie zaskoczyła. Została tylko pokora. – **Szedł Pan na to spotkania bez cienia nadziei, że to może Pan?**

– Szedłem, by brać udział w historycznym momencie – dla tego teatru, dla dyrektora Jasińskiego, dla odznaczanych koleżanek i kolegów. Szedłem na rodzinną imprezę – bo ciocia ma imieniny. A tu ktoś oświadczył się właśnie mnie.

– **A co Pan powie tym, którzy wyrażali zdumienie, że to Pana wybrał Jasiński?**

– Nie zajmują mnie ludzie, którzy mają z mną jakiś problem – oczywiście dopóki ja nie mam z nimi. Wtedy umiem zająć się problemem. Kompleksowo.

– **Wierzy Pan, że po tych dwóch latach, pracując u boku Jasińskiego zda Pan ten egzamin?**

– Inaczej bym do niego nie podchodził.

– **Ma Pan 38 lat, trudno będzie Panu prowadzić STU przez 50 lat.**

– Wystarczy 49. A uparty jestem. Wychodzić przed Krzysztofa Jasińskiego byłoby niestosowne. **Rozmawiał**  
**Wacław Krupiński** ©